BUDNIK THIEL

GERHART HAUPTMANN

BUDNIK THIEL

NOWELA

Z ORYGINAŁU PRZEŁOŻYŁ

ADAM STODOR

STANISŁAWÓW 1907 R.
NAKŁADEM KSIĘGARNI ROMANA JASIELSKIEGO
GEBETHNER I WOLFF W WARSZAWIE

DRUKIEM ALEKSANDRA RIPPERA W KRAKOWIE

I.

Budnika Thiela można było widzieć każdej niedzieli w kościele w Żytawie Nowej, wyjąwszy te, w których miał służbę, albo był chory. Od lat dziesięciu dwa razy tylko dłużej chorował; raz gdy spadł kawał węgla z przejeżdżającej maszyny i tak go silnie w nogę skaleczył, że z nasypu zleciał; drugi raz flaszka wina uderzyła go w piersi, wyrzucona z okna przelatującego pociągu pospiesznego. Prócz tych dwu nieszczęśliwych przypadków, nic go nie mogło powstrzymać od udania się do kościoła, skoro tylko był wolny.

W ciągu pierwszych pięciu lat swej służby chodził zawsze sam od Schön-Schornsteinu, małej kolonii nad Spreą, do Żytawy Nowej. Nagle pewnego dnia zjawił się tamże w towarzystwie szczupłej, mizernie wyglądającej dziewczyny, która, jak powszechnie sądzono, niestosownie wyglądała przy jego herkulesowej postaci. A potem, pewnej pięknej niedzieli po południu, ujął on tę samą osóbkę uroczyście za rękę przy ołtarzu, by połączyć

się z nią na całe życie. Przez dwa lata następnie siadywała, młoda, delikatna kobieta w kościele u jego boku; przez dwa lata pochylała się jej szczupła, delikatna twarz obok jego, osmalonej wichrem, nad prastarą biblią — i nagle budnik znów sam siedział w ławce kościelnej.

Jednego z poprzednich dni zadzwonił tylko dzwon żałobnie — i to było wszystko.

Na budniku, według zapewnień ludzi, nie można było dostrzedz niemal żadnej zmiany. Guziki jego świątecznego munduru, były, jak zawsze dotąd, starannie wyczyszczone, rude jego włosy, jak dotąd, tłuszczem wysmarowane i na sposób wojskowy zaczesane — jedynie szeroki, owłosiony kark pochylił nieco i tem gorliwiej skupiał się na nabożeństwie lub śpiewał, jak to dotąd czynił. Powszechnie mniemano, że śmierć żony niewiele go obeszła, a zapatrywanie to było tem bardziej uzasadnionem, że Thiel po roku ożenił się z tęgą, silną dziewką od krów, z Alte-Grund.

Nawet pastor poczuł się w obowiązku poczynić kilka uwag, gdy Thiel mu o swych zamiarach przyszedł oznajmić.

— Już się chcesz znowu żenić?

— Nieboszczka nie może mi przecież gospodarzyć, panie pastorze.

— Tak, pewnie... myślę jednak, że zanadto się spieszysz.

— Chodzi mi o małego, panie pastorze.

Żona Thiela zmarła była w połogu, a mały,

którego na świat wydała, żył i otrzymał imię: Tobiasz.

— Ach, tak... mały — rzekł duchowny, okazując, że teraz dopiero przypomniał sobie o istnieniu dziecka. — Tak to co innego — któż nad nim czuwa, gdy jesteś na służbie?

Wtedy Thiel, opowiedział, jak to małego powierzył pewnej kobiecie, u której raz o mało co, że się nie spalił, a raz znów upadł jej z kolan na ziemię, na szczęście tak szczęśliwie, że się tylko na porządnym guzie skończyło. Tak być dalej nie może, rozważył sobie, tem bardziej, że mały, wątły od urodzenia wymagał szczególniejszej opieki. Z tego powodu, a także dlatego postanowił się ożenić, że nieboszczce poprzysiągł, iż o małego szczerze się troszczyć będzie.

O nowej parze, która co niedzieli ukazywała się w kościele, nie mieli ludzie niczego do zauważenia. Była dziewka od krów, zaledwie o pół głowy niższa, ale pełniejsza od niego, była jak gdyby stworzoną dla budnika. Twarz jej miała tak samo grube rysy, jak i jego, tylko że, w przeciwieństwie do budnika, nie posiadała żadnego duchowego wyrazu.

Jeżeli Thiel pragnął mieć z swej drugiej żony niestrudzoną robotnicę i wzorową gospodynię, to rzeczywistość przeszła jego oczekiwania. Trzy rzeczy jednakże, nie wiedząc o tem, kupił on wraz z żoną: gwałtowną jej żądzę panowania, kłótliwość i brutalną namiętność. Po upływie pół roku wszyscy wie-

dzieli, kto rządzi w domu budnika. Ubolewano nad Thielem.

— Szczęściem jest dla niej, że dostała za męża takiego barana, jakim jest Thiel — mówili rozgoryczeni mężowie — są jeszcze i tacy, przy których strasznie źleby na tem wyszła. Takie „zwierzę“ trzeba poskramiać, nawet gdy inaczej nie można, to kijem. Poskromiłoby się ją, ale trzebaby tak, żeby dobrze poczuła.

Thiel jednak dalekim był od tego mimo swych żylastych ramion. To co ludzi oburzało, na nim nie robiło żadnego wrażenia. Bezustanne kazania żony zbywał milczeniem, a jeżeli odpowiadał, to jego powolna i chłodna mowa dziwne stanowiła przeciwieństwo w porównaniu ze skrzeczącą paplaniną żony. Świat nic go na pozór nie obchodził. Zdawało się, jakby ukrywał w swej duszy coś, co wszelkie zło, przez żonę mu wyrządzone, na dobre mu przemienia.

Mimo tej jednak niezwykłej powolności miewał chwile, w których nie można było z nim żartować. Odnosiło się to do spraw, które tyczyły się Tobiaszka. Jego dziecięco dobra, uległa istota nabierała wtedy jakichś rysów mocy, której nie odważała się sprzeciwiać nawet tak nieokiełznana natura, jak u Leny.

Chwile jednak, w których ta strona jego istoty się objawiała, stawały się z czasem coraz rzadsze, a wkońcu znikły zupełnie.

Pewien rodzaj bolesnego oporu, który stawiał żądzy władczej Leny w ciągu pierwszego roku, zniknął w następnym. Nie szedł już, jak przedtem, ochotnie do pracy, jeżeli miał z nią zwadę, a jej przed odejściem nie załagodził. Wkońcu nawet poniżał się do proszenia jej, by była dobrą. — Nawet samotna jego budka, stojąca wśród sosnowego lasu, nie była mu już tak miłą. Ciche jego rozmyślania o zmarłej żonie krzyżowały się z myślami o żyjącej. Bez przymusu, jak to przedtem bywało, wracał do domu, lecz z namiętnym pośpiechem, licząc już przed powrotem godziny i minuty oczekiwania.

Z pierwszą żoną łączyła go miłość bardziej uduchowiona, teraz popadł skutkiem przemocy nizkich popędów pod władzę swej drugiej żony i wkońcu stał się we wszystkiem od niej zależnym. Od czasu do czasu sumienie smagało go z powodu takiego obrotu rzeczy, więc starał się rozmaitymi sposobami temu zaradzić. I tak w głębi swej duszy uznawał on swą budkę strażniczą i część toru kolejowego, którego doglądał, za jakiś uświęcony kraj, który wyłącznie miał być poświęcony pamięci zmarłej. Przy pomocy rozmaitych wybiegów udawało mu się odtąd powstrzymać żonę od towarzyszenia kiedykolwiek do tych miejsc.

Spodziewał się, że i nadal mu się to powiedzie. Nie wiedziała nawet, w którym iść kierunku, by odnaleźć jego „budkę“, której

numeru nawet nie znała. Tym sposobem dzieląc swój czas pomiędzy żyjącą a zmarłą, uspokajał Thiel rzeczywiście swe sumienie. Często jednak, szczególniej zaś w chwilach samotnego rozpamiętywania, kiedy szczerze łączył się myślą z nieboszczką, spostrzegał on swój stan w prawdziwem świetle i nabierał doń wstrętu.

Gdyby był odbywał swą służbę jedynie we dnie, prawdopodobnie obcowanie jego ze zmarłą ograniczałoby się do wspomnień wspólnego pożycia. W nocy jednak, gdy burza ze śniegiem rwała pośród sosen i ponad torem, o północy, przy słabem świetle jego latarki, wtedy budka jego przemieniała się w jakąś kapliczkę.

Siedząc przed wypełzłą fotografią zmarłej, ustawioną na stole, przed otwartą biblią i śpiewnikiem, czytał i śpiewał na przemian, wyjąwszy chwile, gdy obok hucząc przelatywał pociąg — i popadał skutkiem tego w ekstazę, potęgującą się aż do widzenia zmarłej, jako żywej przed sobą.

Posterunek, który budnik bez przerwy już od dziesięciu lat zajmował, w swem odosobnieniu szczególniej sprzyjał jego mistycznym skłonnościom.

Oddalony dookoła najmniej o trzy kwadranse drogi od ludzkich mieszkań, stał wśród lasu przy drodze, przecinającej tor kolejowy, którego to przejścia Thiel dozorował.

Latem mijały dnie, a zimą tygodnie, w któ-

rych żadna ludzka stopa, z wyjątkiem budnika i jego kolegów, nie przestąpiła toru. Jedyne urozmaicenie w tej pustce stanowiły: stan pogody i zmiany pór roku w swych peryodycznych nawrotach. Zdarzeń, składających się na regularny bieg służby Thiela, z wyjątkiem kilku, nie można było z powodu ich monotonności zapamiętać. Przed czterema laty pędził tędy specyalny pociąg dworski, który wiózł cesarza do Wrocławia. Pewnej znów zimowej nocy pociąg przejechał sarnę. Pewnego zaś upalnego dnia letniego znalazł był Thiel podczas oględzin toru zakorkowaną, gdyby rozpaloną od gorąca flaszkę, z której po odkorkowaniu napój trysnął fontanną. Flaszka, którą Thiel w celu oziębienia położył był na wilgotnym brzegu jeziora, przepadła gdzieś, a Thiel po latach jeszcze nie mógł tej straty odżałować.

Pewne urozmaicenie powodowała studnia, stojąca tuż przy budce. Od czasu do czasu czerpali z niej wodę robotnicy zajęci przy torze lub przy telegrafie, co było powodem do krótkiej pogawędki. Nieraz nawet leśny tu przychodził, by ugasić pragnienie.

Tobiaszek rozwijał się bardzo powoli; dopiero po upływie dwu lat zaczął chodzić i mówić. Do ojca był szczególnie przywiązany. Gdy stał się nieco rozsądniejszym, miłość ojca ku niemu obudziła się na nowo. W tym samym stosunku jak ta wzrastała, pomniejszała się miłość macochy względem Tobiaszka

i zmieniła się w jakiś dziwny wstręt, gdy Lena po upływie jeszcze jednego roku sama powiła chłopaka.

Odtąd rozpoczęły się złe czasy dla Tobiaszka; macocha biła go niemiłosiernie w czasie nieobecności ojca. Tobiaszek musiał po całych dniach z uszczerbkiem swych sił piastować jej małego krzykacza, co go coraz bardziej wyczerpywało. Głowa jego stała się niepomiernie dużą, czerwono-rude włosy i kredowo-blada twarz w połączeniu z niezgrabnością jego korpusu wywoływały wrażenie wzbudzające litość. Gdy tak wyglądający Tobiaszek dźwigał na ręku tryskającego zdrowiem braciszka i wlókł się ulicą aż ku brzegowi Sprei, wszyscy złorzeczyli w duchu Lenie, nie powtarzając jej jednak tego głośno. Thiel zaś, którego ta sprawa powinna była najbardziej obchodzić, zdawał się tego nie widzieć i nie rozumieć półsłówek sąsiadów.

II.

Pewnego dnia czerwcowego, o godzinie siódmej rano, powrócił Thiel ze służby. Żona jego, nie witając się z nim nawet, rozpoczęła zaraz w zwykły sposób wyrzekać. Oto grunt pod kartofle, który dotąd ich potrzeby zaspokajał, wydzierżawiono w tym roku komu innemu, a oni nowego nie mają. Aczkolwiek troska o gospodarstwo domowe do niej należy, musi Thielowi wreszcie oznajmić, że nikt temu nie jest winien tylko on sam. Będą musieli w tym roku kupić dziesięć worków kartofli za drogie pieniądze. Thiel zamruczał niezrozumiale pod nosem i nie zwracając wcale uwagi na skrzeczenie żony, udał się do swego łóżka, na którem sypiał starszy syn jego, jeżeli on w nocy miał służbę. Tu legł i przypatrywał się pilnie a troskliwie śpiącemu dziecku, które się obudziło, skoro przez chwilę muchy natarczywe zeń spędzał.

W niebieskich, głębokich oczach przebudzonego malowała się wzruszająca radość. Łapczywie uchwycił ojca za rękę, podczas tego zaś kąciki jego ust układały się do żałośnego

uśmiechu. Budnik zaczął mu zaraz pomagać przy wdziewaniu niewielu części ubrania, gdy wtem nagle, gdyby cień jaki padł na jego twarz. Spostrzegł bowiem na prawym, nieco obrzmiałym policzku, kilka śladów palców pozostałych po uderzeniu.

Podczas śniadania Lena ze zdwojonym zapałem powróciła do poruszonej poprzednio gospodarskiej sprawy. Wtedy Thiel przerwał jej potok słów wiadomością, że mu „bahnmistrz“ kawałek pola, leżącego wzdłuż toru nieopodal jego budki, bezinteresownie do użytku pozostawił, ponieważ był on dla niego za daleko położony.

Z początku Lena nie chciała temu wierzyć, powoli jednak nikły jej wątpliwości, a potem popadła w wyśmienity humor. Pytała prawie bez przerwy o wielkość i jakość roli, a gdy się dowiedziała, że przy tem wszystkiem są jeszcze dwa skarłowaciałe drzewa owocowe, ogłupiała prawie z radości. Skoro zaś nie było się już o co dopytywać, nęcić ją począł do wyjścia głos dzwonka u drzwi sklepikarza, który wciąż się odzywał, każąc przypuszczać, że w sklepiku będzie się mogła pochwalić tem zdarzeniem przed wszystkiemi kumoszkami.

W czasie, gdy Lena bawiła w ciemnym, przeładowanym towarami sklepiku, zajął się budnik Tobiaszkiem. Malec siedział na jego kolanach i bawił się szyszkami, przyniesionemi z lasu przez ojca.

— Czem chciałbyś zostać? — zapytał ojciec, a to pytanie było tak stereotypowem, jak i odpowiedź malca: „bahnmistrzem“. Pytanie to wcale nie było pozbawionem powagi, gdyż marzenia budnika wznosiły się rzeczywiście do tej wysokości i zupełnie seryo pragnął i spodziewał się, że z Tobiaszka, przy pomocy Bożej, będzie coś wyjątkowego. Skoro tylko odpowiedź: „bahnmistrzem“ wyszła z bezkrwistych ust małego, który, jak łatwo się domyśleć, nie wiedział nawet, co „bahnmistrz“ znaczy, poczęła się twarz Thiela rozjaśniać tak, że formalnie promieniowała szczęśliwością.

— Idź, Tobiaszku, idź się bawić! — rzekł krótko, rozniecając przy tych słowach fajkę wiórem, zapalonem u ogniska. Mały zesunął się zaraz z kolan ojca i pobiegł uradowany do drzwi. Thiel rozebrał się, położył się do łóżka i zasnął, obserwując przedtem długo w zamyśleniu nizki i popękany pułap. Około dwunastej zbudził się, ubrał się i wyszedł na ulicę, podczas gdy żona, jak zwykle bezustannie wyrzekając, obiad przygotowywała. Wyszedłszy ujrzał Tobiaszka wyskrobującego palcami wapno z dziury w ścianie i pakującego je do ust. Ujął go za rękę i poszedł z nim, minąwszy ośm domków, w dół do Sprei, która szkląc się ciemno, płynęła między słabo ulistnionemi topolami. Tuż nad wodą był blok granitowy, na którym Thiel usiadł.

Cała osada przyzwyczaiła się, przy jakiej-

kolwiek pogodzie widzieć go w tem miejscu. Dzieci szczególniej lgnęły doń, nazywały go „ojcem Thielem“, a on je wyuczał wszelkich zabaw, zapamiętanych z czasów młodości. Najlepsze jednak ze swych wspomnień zachowywał dla Tobiaszka. Dla niego strugał strzały, lecące wyżej aniżeli wszystkich innych malców; dla niego wykręcał wierzbowe fujarki, przyśpiewując przy tem basem kościelne pieśni i opukując równocześnie korę rogową okładką swego nożyka.

Ludzie wybaczali mu te „głupstwa“, nie mogli tylko pojąć, dlaczego się wdaje jedynie ze smarkaczami. W głębi duszy byli jednak temu radzi, gdyż dzieci można było śmiało zostawiać pod jego opieką; prócz tego Thiel zajmował się niemi i w sposób poważny, pomagał im przy czytaniu biblii i psalmów i sylabizował z malcami: „b“ — „a“ — „ba“ itd.

Po obiedzie położył się zaraz budnik, by krótko zdrzemnąć; a gdy się przespał, wypił kawę i zaraz zaczął się sposobić do wyjścia na służbę. Potrzebował do tego, jak do wszystkich swych czynności, dużo czasu; każde poruszenie ręki nie było u niego bez celu, zawsze w tym samym porządku wędrowały do bocznej kieszeni, starannie na małej orzechowej komodzie ułożone przedmioty: nóż, notesik, grzebień, ząb koński, stary, rozklekotany zegarek. Z małą, w czerwony papier oprawną książeczką, Thiel szczególniej tro-

skliwie się obchodził; leżała ona nocą pod poduszką budnika, a w dzień sam wkładał ją do kieszeni swej służbowej bluzy. Na okładce wypisane były niekształtnem, ale starannem pismem ręką Thiela: „Książeczka oszczędności Tobiasza Thiela“.

Ścienny zegar o długiem wahadle i pożółkłej tarczy, wskazywał trzy na piątą, gdy Thiel wyszedł. Małe, jego własne czółenko przewiozło go przez rzekę. Na przeciwnym brzegu Sprei zatrzymywał się kilka razy i nasłuchiwał w stronę osady. Wreszcie skręcił na szeroką, leśną drogę i znalazł się po kilku minutach pośród szumiącego, sosnowego lasu, którego iglasta połać podobna była do ciemno-zielonego, falującego morza. Cicho, gdyby po aksamicie, stąpał on po wilgotnym mchu i opadłych igłach. Szedł znaną sobie drogą, nie rozglądając się wcale, to pośród brunatno-zielonych pni wysokiego lasu, to znów dalej pośród gęstwiny młódek, a jeszcze dalej przez rozległe zagajniki, ocienione poszczególnemi wysmukłemi sosnami, które pozostawiono, by osłaniały drobiazg. Błękitnawy, przejrzysty, wszelkiemi woniami przesiąkły opar podnosił się z ziemi i zacierał zarysy drzew. Ciężkie, mleczno-białe niebo wisiało wysoko ponad wierzchołkami drzew; stada wron pławiły się w szarzyźnie powietrza, kracząc ochryple bez przerwy; czarne kałuże wody wypełniały zagłębienia ziemi i odzwierciadlały posępną przyrodę jeszcze posępniej w swych lustrach.

— Obrzydliwy czas — pomyślał Thiel, gdy się obudził z głębokiego zamyślenia i rozglądać się począł.

Nagle myśli jego przybrały odmienny kierunek; wydawało mu się, iż musiał zapomnieć czegoś w domu i rzeczywiście przekonał się, przeszukawszy kieszenie, że nie wziął ze sobą kawałka chleba, którego potrzebował zawsze z powodu długiego trwania godzin służby. Niezdecydowany stał chwilę, obrócił się potem nagle i pospieszył z powrotem do osady.

Wkrótce był nad Spreą. Kilku silnemi uderzeniami wiosła przeprawił się na drugi brzeg, i spieszył, spocony cały, wznoszącą się ku górze drogą wiejską. Stary, brzydki pies sklepikarza leżał na środku ulicy. Na parkanie z desek napojonych terem, siedziała wrona, strzepywała pióra, poruszała się, kiwała, wydawała rozdzierające okrzyki „kra“, „kra“ — i wzniósłszy się leniwym ruchem skrzydeł w powietrze, pozwoliła się nieść wiatrowi w kierunku lasu.

Z mieszkańców małej osady, zamieszkałej przez dwudziestu rybaków i tyluż drwali, nie było widać nikogo.

Nagle jakiś krzykliwy głos rozdarł ciszę tak głośno, że budnik mimowoli biedz przestał. Cała powódź silnie wyrzucanych, złością nabrzmiałych słów uderzyła w jego uszy, płynąc z otwartego okna nizkiego domku, który niestety znał bardzo dobrze.

Tłumiąc ile możności odgłos własnych

kroków, postąpił bliżej i teraz rozpoznał dokładnie głos swej żony. Jeszcze kilka kroków, a wszystkie jej słowa mógł dokładnie zrozumieć.

— Co, ty niegodziwy łotrze bez serca! Czy ma się przez ciebie mały robaczek na śmierć zakrzyczeć z głodu? — co? – czekaj, czekaj, ja cię nauczę! — Popamiętasz! — Chwil kilka było cicho, następnie słychać było gdyby trzepanie ubrania, a potem znów posypał się cały grad wyzwisk.

— Ty niegodziwy smarkaczu – zabrzmiało znów przyspieszonem tempem — myślisz, że me rodzone dziecko ma z głodu zginąć z twej przyczyny, nędzarzu? -- Stul gębę! — zabrzmiał krzyk, gdy rozległo się ciche łkanie -- albo dostaniesz taką porcyę, że ją przez tydzień popamiętasz.

Łkanie nie ustawało.

Budnik czuł, że serce mu bije ciężko, nieregularnie; zaczął drżeć lekko, wzrok zatopił w ziemię, a jego twarda, ciężka ręka, poczęła bezwiednie odgarniać pukiel mokrych włosów z nad czoła, opadający bezustannie na piegowate czoło.

Chwilę zdawało mu się, że się nie przemoże. Jakiś dziwny skurcz naprężał mu muszkuły, a palce u rąk w pięści zwijał. Przeczekał i głuche znieczulenie znów powróciło.

Niepewnym krokiem wszedł budnik zmęczony na wązkie, cegłami wyłożone podwórze i powoli zaczął wchodzić na trzeszczące schody.

— Pfu, pfu, pfu! — rozległo się znów, przytem słychać było, jak ktoś trzy razy, raz po raz pluje z wszelkiemi oznakami wściekłości i pogardy. — Ty niegodziwy, podły, chytry, szelmowski, rozlazły, prostacki złodzieju! — Słowa następowały po sobie w coraz to wyższej tonacyi, a głos, który je wydawał, ustawał co chwila z powodu nadzwyczajnego wzburzenia. — Dziecko moje będziesz bił, co? Ty podły niedojdo, śmiesz biedne, bezsilne dziecko bić po twarzy? — co? — co? — Nie chcę się tylko zapaskudzić przy tobie, inaczej...

W tej chwili Thiel otworzył drzwi izby, skutkiem czego ostatnie słowa uwięzły w gardle przestraszonej kobiety. Była kredowo-blada ze złości, wargi jej drżały w pasyi, podniosła prawą rękę, opuściła ją i chwyciła garnek z mlekiem, starając się niem napełnić flaszeczkę dla dziecka. Zaprzestała jednak tej roboty, gdyż większa część mleka rozlewała się po szyjce flaszki na stół. Nie panując zupełnie nad sobą, chwytała to za jeden, to za drugi przedmiot, wreszcie, opanowawszy się nieco, uderzyła na męża, poco przyszedł o tak niezwykłej porze. Nie chce być podglądaną. Do tego już dochodzi. Ma czyste sumienie i każdemu może śmiało w oczy popatrzeć.

Thiel prawie nie słyszał tego, co mówiła; jego wzrok zatrzymał się przez chwilę na zawodzącym Tobiaszku. Chwilę zdawało się,

jakby coś okropnego tłumił w sobie; potem na twarzy jego rozlała się zwykła flegmatyczność, ożywiona dziwnie ukrywanym blaskiem oczu. Przez sekundę wzrok jego zatrzymał się na pełnych kształtach żony, kręcącej się po izbie, by się całkowicie uspokoić. Jej pełne, na pół obnażone piersi, podnosiły się gwałtownie, jakby chciały stanik rozsadzić a szerokie biodra w suto marszczonej spódnicy wydawały się jeszcze szersze. Jakaś moc biła od tej kobiety, siła niepokonana, nie do zwalczenia, której Thiel oprzeć się nie mógł.

Lekko, gdyby delikatna siatka pajęcza, a silnie, jak sieć z żelaza otoczył go ten czar, krępując, przezwyciężając, usypiając go. W tym stanie nie mógł przemówić do niej ani słowa, tem bardziej rzec coś ostrego — i dlatego musiał Tobiaszek, pławiąc się we łzach, przestraszony, patrzeć z kąta, jak ojciec, nie patrząc nań wcale, wziął zapomniany chleb z okna i nie mówiąc ani słowa, pokazał go matce, skinął głową i roztargniony z izby wyszedł.

III.

Chociaż Thiel powracał do swego leśnego zakątka o ile mógł najspieszniej, przyszedł do swego posterunku o piętnaście minut za późno.

Strażnik, suchotnik, z powodu służby narażającej go na ciągłe zmiany temperatury, pełniący z budnikiem służbę na zmiany, stał już gotów do odejścia na małej, piasczystej platformie przed domkiem, którego wielki numer, czarny na białem tle, pomiędzy pniami drzew widać było z daleka.

Obaj mężczyźni podali sobie ręce, udzielili sobie nawzajem kilku krótkich wyjaśnień i rozeszli się. Jeden znikł we wnętrzu budki, drugi oddalił się wzdłuż toru, w przedłużeniu tej drogi, którą Thiel przyszedł. Słychać było jego suchotniczy kaszel najpierw bliżej, potem dalej wśród pni drzew — a po zniknięciu jego zamilkło wszystko w tem pustkowiu. Thiel rozpoczął, swym zwyczajem, uporządkowywać mały, kwadratowy obszar swej kamiennej budki. Robił to mechanicznie, pod-

czas gdy duch jego zajęty był wrażeniami ostatnich kilku godzin. Położył chleb na wązkim, brunatnym stole, stojącym przy jednem z okienek, przez które można było dokładnie przejrzeć cały tor kolejowy. Potem rozniecił ogień w małym popękanym piecu i nastawił garnek zimnej wody, by się zagrzała. Gdy zaś w dodatku uporządkował łopaty, rydle, drągi itd., zabrał się do czyszczenia latarki i nalał ją świeżą naftą.

Gdy to się stało, zapowiedział dzwon trzema ostremi uderzeniami, które się powtarzały, że pociąg od strony Wrocławia nadchodzący, wyjechał właśnie z ostatniej stacyi. Bez jakiegokolwiek pośpiechu pozostał Thiel jeszcze przez dobrą chwilę wewnątrz budki; wyszedł wreszcie z chorągiewką i z torebką z sygnałowymi petardami w ręku i udał się powolnym, wlokącym się krokiem, wązką, piasczystą ścieżyną, do przechodu kolejowego, znajdującego się w oddaleniu o jakie dwadzieścia metrów od budki. Baryery przejazdowe zamykał i podnosił Thiel zawsze regularnie, chociaż przejazdem bardzo rzadko kiedy ktoś przechodził.

Ukończył swą robotę i oczekując oparł się o czarno-białą poręcz przejazdu.

Tor przerzynał się przez gęsty, nieprzejrzysty, zielony las; po obu jego stronach stały milczące połacie drzew szpilkowych, przepuszczając między sobą tor, odcinający się na tle drzew czerwono-brunatną barwą piasku.

Czarne, równoległe szyny na tym piasku podobne były do olbrzymiego, żelaznego oka sieci, którego zbiegające się nici ginęły kędyś w najdalszych punktach północy i południa,

Wiatr wzmógł się i pędził lekkie falowania drzew w dal, wzdłuż brzegów lasu. Od słupów telegraficznych, stojących wzdłuż toru, płynęły metaliczne akordy. Na drutach, ciągnących się gdyby nić jakiejś olbrzymiej sieci od słupa do słupa, siedziały w zbitych szeregach szczebioczące ptaszęta. Jakiś szpak przeleciał tuż nad głową Thiela, nie zaszczycony nawet jednem jego spojrzeniem.

Słońce, które właśnie zawisło pod brzegiem potężnych obłoków, by wkrótce zatonąć w ciemno-zielonem morzu wierzchołków, lało strumieniami czerwień ponad lasem. Pnie sosen z tej strony nasypu rozpłonęły od tych blasków i żarzyły się jak rozpalone żelazo.

I szyny zaczęły żarzyć się, podobne ognistym wężom, ale zagasły najpierw; a blask począł powoli wznosić się od ziemi ku górze, kąpiąc najpierw dolne części sosen, potem większą część ich korony w zimnym, niepewnym mroku, wreszcie tylko najwyższe krańce wierzchołków różowiły się mgławo. Cicho i uroczyście przeminęło to całe zjawisko. Budnik stał jeszcze dotąd przy baryerze bez ruchu, wreszcie postąpił krok naprzód; ciemny punkt na widnokręgu, tam gdzie się szyny zbiegały, począł się zwiększać.

Rósł co sekundę a wydawało się, że stoi na miejscu. Po szynach przebiegł dreszcz i cichy szmer, potem rytmiczny dźwięk, potem głuchy ton, który stając się coraz głośniejszym, stał się wkrótce podobnym do tętentu pędzącego na wprost szwadronu konnicy.

Sapanie i dyszenie wzrastało powoli; wtem nagle ustała cisza, potężne dudnienie wypełniło przestrzeń, szyny i ziemia poczęły drżeć mocniej — silny prąd powietrza — chmura pyłu, pary i dymu... i czarny, sapiący potwór był tuż. Tak jak wzrastały, tak zcichły powoli te odgłosy. Mgła zgęstniała, pędząc do odległego punktu; pociąg znikł w oddali i dawna, święta cisza zapanowała znów nad leśnym zakątkiem.

* * *

— Minna — szepnął budnik, gdyby ze snu obudzony i wrócił do swej budki. Po przyrządzeniu słabej kawy, położył się i popijając od czasu do czasu po łyku kawy, wpatrywał się bezmyślnie, w zabrukany kawał gazety, który znalazł był na torze kolejowym.

Od czasu do czasu przejmywał go jakiś dziwny niepokój. Tłómaczył ten stan gorącem piecyka, które izdebkę wypełniło, zdjął więc surdut i kamizelkę, aby mu lżej było, a gdy to nie pomogło, powstał, wziął łopatę i udał się do podarowanego mu kawałka pola.

Był to wązki skrawek piasczysty, ziel-

skiem zarosły; gdyby śnieżna piana leżała wspaniałość kwiecia na gałęziach dwu skarłowaciałych drzew owocowych, które się tam znajdowały.

Thiel uspokoił się, owładnęło nim ciche zadowolenie.

A więc do roboty.

Łopata zgrzytając cięła ziemię, a wilgotne skiby padały głucho, rozbijając się na miał. Czas pewien kopał bez odpoczynku, potem ustał nagle i rzekł głośno i przejmująco, pochylając i podnosząc przytem głowę: Nie, nie, tak być nie może.

Przyszło mu bowiem nagle na myśl, że odtąd Lena często tu przychodzić będzie, by roli doglądać, a skutkiem tego jego sposób życia ulegnie pewnym zmianom. I nagle radość jego, z powodu posiadania tego kawałka roli, zmieniła się w jakiś wstręt przeciw niej. Gwałtownie, jak gdyby zaczął był jakąś czynność nieuczciwą, wyrwał łopatę z roli i odniósł ją do budki. Tu zapadł w posępne rozmyślania. Nie zdawał sobie sprawy dla czego, ale sama myśl, że będzie miał Lenę przez cały czas swej służby przy sobie, stawała mu się coraz bardziej nieznośną. Opierał się tej myśli, jakby bronił przed nią czegoś drogiego, jak gdyby ktoś pragnął rzecz dlań najświętszą naruszyć, i mimowoli muszkuły jego tężały gdyby do walki, podczas gdy krótki wyzywający śmiech z ust mu się wydarł. Przestraszony tym śmiechem, rozej-

rzał się i zerwał przez to wątek swych rozmyślań. Gdy go znów odnalazł, pogrążył się na nowo w rozmyślaniach.

I nagle zdało mu się jakby ktoś rozdarł przed nim na dwie części czarną zasłonę, a jego pozbawione przeszkody oczy ujrzały wszystko dokładnie. Wydało mu się, że nagle zbudził się po dwuletnim, śmiertelnym śnie i przypatrywał się teraz, kiwając z niedowierzeniem głową, wszystkim okropnościom, na których widok włosy powstają, a na jakie on zezwalał, będąc w tym dziwnym stanie. Dzieje cierpień jego syna starszego, zapieczętowane wrażeniem ostatnich godzin, rozwinęły się jasno przed jego oczyma. Litość, skrucha i głęboki wstyd owładnęły nim z powodu, że przez cały ten czas znosił wszystko, nie ujmując się za kochanem, bezradnem stworzeniem, ba, nie mając nawet siły uświadomić sobie, jak wiele ono cierpiało.

Pod wpływem tych bolesnych samoudręczeń popadł Thiel w głębokie zmęczenie i usnął pochyliwszy grzbiet, z czołem na ręce, którą o stół był oparł.

Jakiś czas leżał tak, gdy wtem kilkakroć przez sen wykrzyknął przejmującym głosem: Minna!...

Wtem zaszumiało mu w uszach, jakby usłyszał łoskot spadającej olbrzymiej masy wodnej, noc ogarnęła go, rozwarł oczy i obudził się. Członki jego drżały, pot śmiertelnego strachu wydobywał się przez wszystkie pory

jego ciała, puls bił mu nieregularnie, twarz jego mokra była od łez.

Było zupełnie ciemno, skierował wzrok ku drzwiom, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Zataczając się powstał, jeszcze ciągle trwogą ogarnięty. Tam zewnątrz las szumiał gdyby wzburzone morze, wiatr rzucał gradem i deszczem w okno budki. Thiel począł szukać bezwiednie dokoła rękami. Chwilę zdawało mu się, że jest tonącym człowiekiem — nagle zajaśniało oślepiające niebieskawe światło, jakby iskra nadziemskiej jasności padła w atmosferę ziemi, by następnie zaraz zagasnąć.

Ta chwila wystarczyła, by budnik oprzytomniał, chwycił za latarkę, co mu się szczęśliwie powiodło, gdy wtem rozległ się grzmot na najdalszym skraju ciemnego nieba, najpierw hucząc głucho i przytłumienie, tocząc się następnie coraz bliżej krótkimi, płonącymi zygzakami, aż w końcu, rosnąc do razów olbrzyma, wstrząsając całą atmosferą zamilknął wśród łoskotu, trzasku i mruku.

Szyby dzwoniły, ziemia drżała.

Thiel zapalił światło; pierwsze jego spojrzenie, gdy opanował się, padło na zegar. Brakowało zaledwie pięć minut do nadejścia pospiesznego pociągu. Przypuszczając, że nie słyszał sygnału, udał się tak szybko, ile na to dozwoliła burza i ciemność, do baryery; a gdy jeszcze był zajęty opuszczaniem tejże, zabrzmiał dzwon sygnałowy. Wicher rozry-

wał jego dźwięki i rzucał nimi na wszystkie strony. Sosny przeginały się i trzeszcząc niemile, tarły o siebie gałęziami. Na chwilę wyjrzał księżyc, podobny do jasno-złotej tarczy wiszącej pośród chmur. W jego świetle widać było jak korony drzew szamocą się we wichrze. Gałęzie grusz chwiały się i trzęsły, gdyby jakie upiorne ogony końskie. A linie szyn, lśniące od wilgoci, piły bladą poświatę księżycową lśniącemi plamami.

Thiel zerwał czapkę z głowy; deszcz mu dobrze robił i spływał, pomieszany ze łzami, po jego twarzy. Płonęło mu w mózgu; niejasne wspomnienie tego, co widział we śnie majaczyło mu w głowie. Śniło mu się, o ile pamiętał, że ktoś źle się obchodził z Tobiaszkiem i to w tak potworny sposób, że mu teraz jeszcze na myśl o tem serce bić przestawało. Inne widzenie pamiętał dokładniej. Ujrzał swą zmarłą żonę; przybyła skądś z dali, po jednej ze szyn, wyglądała bardzo chorowicie i miast sukien okryta była łachmanami. Przeszła obok budki Thiela, nie oglądając się wcale na nią i wkońcu — tego dobrze nie pamiętał — z jakiegoś powodu z trudem odeszła dalej, padając kilkakrotnie po drodze z wyczerpania.

Thiel rozmyślał dalej i przypomniał sobie, że ona przed czemś uciekała. Bez wątpienia musiało tak być, bo dlaczegożby spozierała za siebie z taką trwogą i poco dalejby się

wlokła, chociaż nogi odmawiały jej posłuszeństwa. O te straszne spojrzenia!

Ale miała ona coś zawiniętego w chustach, coś krwawego, bladego, a sposób, w jaki na to patrzyła, przypomniał mu przeszłość.

Przypomniał sobie umierającą kobietę, która na swe dopiero co narodzone dziecię, mając je porzucić, patrzyła z wyrazem głębokiego bolu, niepojętej męki, z wyrazem, którego Thiel tak samo zapomnieć nie mógł, jak tego, że miał ojca i matkę.

Dokąd ona odeszła? Nie wiedział; ale to pojmował jasno w swej duszy, że porzuciła go, nie patrzała na niego i wlokła się coraz dalej, coraz dalej w czasie tej burzliwej, ciemnej nocy. Wołał za nią: Minna, Minna! — i to go obudziło.

Dwa czerwone, okrągłe światła zajaśniały w ciemności, gdyby ślepia olbrzymiego potworu. Krwawy blask bił od nich, zmieniający krople deszczu w krople krwi. Zdawało się, że z nieba pada krwawy deszcz.

Thiela ogarnęła trwoga, im bliżej był pociąg tem trwoga wzrastała; sen i rzeczywistość stopiły się w jedno. Ciągle jeszcze widział kobietę idącą wzdłuż szyn, a ręka jego szukała za torbą z petardami, jakby zamierzał zatrzymać pędzący pociąg. Na szczęście było już na to za późno. Światła pociągu oślepiły oczy Thielowi i pociąg popędził dalej.

Pozostała część nocy minęła Thielowi na

ciągłym niepokoju. Ciągnęło go coś do domu. Pragnął bardzo ujrzeć Tobiaszka. Zdawało mu się, jakby go już kilka lat nie widział, wreszcie, skutkiem wzrastającej tęsknoty, mało co że nie porzucił służby, by go prędzej zobaczyć.

Aby skrócić czas oczekiwania postanowił Thiel obejrzeć o świcie część swego toru. Z kijem w lewej ręce, z dużym żelaznym kluczem w prawej, szedł on grzbietem jednej z szyn w czasie brudno-szarego świtania.

Tu i tam przyciągnął on kluczem silniej śrubę i uderzał o żelazne łączniki spajające jedną szynę z drugą.

Deszcz i wicher ustały, a pośród potarganych chmur tu i tam przezierał błękit nieba.

Monotonne stąpanie twardych obcasów po twardym metalu, w połączeniu z usypiającym szmerem drzew otrząsających krople deszczowe, uspokajały powoli Thiela.

O szóstej rano zwolniono go i bezzwłocznie udał się do domu.

Był to śliczny ranek letni; chmury się rozpierzchły i widać je było gdzieniegdzie na horyzoncie. Słońce wschodzące, podobne do olbrzymiego krwawego klejnotu, zlewało całą powódź światła na las.

Prostemi liniami strzelały pęki promieni słonecznych na chaos pni, na wysepki delikatnych paproci, tam znów na srebrno-zielone połacie gruntu leśnego, przemieniając je w korale.

Z wierzchołków pni i traw spadała ognista

rosa. Powódź światła wylała się na świat. Świeżość powietrza wdzierała się aż do serca. Skutkiem tego obrazy nocne w mózgu Thiela zblednąć musiały.

Z chwilą zaś, gdy wszedł do izby i Tobiaszka zobaczył leżącego w łóżku, o różowszych niż zwykle policzkach, obrazy te znikły zupełnie.

A jednak! W ciągu całego dnia wydał on się Lenie niezwykłym. Siedząc w ławce w kościele, zamiast patrzeć w książkę, na nią z boku spozierał, a potem w południe, nie mówiąc ani słowa, małego, którego jak zwykle po drodze Tobiaszek nieść musiał, z rąk jego zabrał i na jej ramionach złożył. Poza tem nie zdradzał nic niezwykłego.

Thiel, który przez cały dzień nie miał sposobności się położyć, około dziewiątej godziny powlókł się do łóżka, tem bardziej że następnego dnia miał służbę dzienną. Właśnie, gdy miał usnąć, oznajmiła mu żona, że pójdzie z nim rano do lasu, by rolę skopać i kartofle posadzić.

Thiel zadrżał; otrzeźwiał zupełnie, nie otwierał jednakże oczu.

— Najwyższy czas – tłómaczyła Lena – jeżeli z kartofli ma jeszcze coś być. Dodała przy tem, że dzieci będzie musiała zabrać ze sobą, gdyż zapewne zabawi przy robocie przez cały dzień. Budnik zamruczał kilka słów niezrozumiałych, na które Lena nie zwracała uwagi. Odwróciła się od niego i zajęła się

przy świetle łojówki rozbieraniem gorsetu, a potem zdejmowaniem spódnicy.

Nagle odwróciła się, sama nie wiedząc z jakiego powodu, i spojrzała w pożerane namiętnością, zbladłe oblicze męża, który podniósłszy się na rękach, wlepił w nią pałające oczy.

— Thiel! — zawołała kobieta na poły gniewnie, na poły przestraszona. Wtedy jak lunatyk, którego zawołano po imieniu, zbudził się ze swego oszołomienia, wybełkotał kilka niezrozumiałych słów, rzucił się na poduszkę i zasunął okrycie poza uszy — —

Następnego dnia Lena pierwsza wstała z łóżka. Bez hałasu przygotowywała wszystko do drogi. Najmłodszego położyła do dziecinnego wózka, potem zbudziła i ubrała Tobiaszka. Gdy się dowiedział, dokąd pójdzie, uśmiechnął się. Skoro wszystko już było przygotowane i kawa stała na stole, przebudził się Thiel. Owładło nim uczucie niezadowolenia na widok tych wszystkich przygotowań. Byłby z pewnością sprzeciwił się, ale nie wiedział jak zacząć. Zresztą jakie mógł podać powody, któreby Lenie wystarczyły?

Powoli jednak promieniejąca twarzyczka Tobiaszka zaczęła oddziaływać na Thiela tak, że wkońcu, z powodu jego radości, nie mógł się sprzeciwiać. Mimo to był Thiel pełen niepokoju podczas wędrówki przez las. Popychał dziecinny wózek z trudem po głębokim pia-

sku i składał doń drugą ręką kwiaty, zrywane i podawane po drodze przez Tobiaszka. Malec był ujmująco wesoły, wyskakiwał w swej brązowej, pluszowej czapeczce pośród paproci i starał się pochwycić którąś ze szklanoskrzydłych ważek, latających wśród ziół. Skoro tylko na miejsce przybyto, Lena zaczęła się roli przypatrywać. Rzuciła woreczek z pokrajanemi kartoflami, przyniesionemi do sadzenia, na trawę i poczęła twardymi swymi palcami przesypywać ciemno-brunatny piasek.

Thiel patrzył na nią uważnie: — No, jakaż jest?

— Naprawdę, dobra! — Budnikowi spadł ciężar z serca. Obawiał się, że będzie niezadowolona i uspokojony teraz targał kosmyki brody.

Skoro kobieta pospiesznie zjadła kawał chleba, zaraz odrzuciła chustkę i gorset i zaczęła kopać szybko i wytrwale, jak maszyna. Co pewien czas prostowała się i wciągała silnie powietrze, ale to trwało chwilę, z wyjątkiem gdy dziecko musiała uciszyć, dając mu falującej, pokrytej potem piersi.

— Muszę tor obejrzeć, wezmę ze sobą Tobiaszka — zawołał po chwili budnik, stojąc na platformie przed budką.

— Ależ to głupstwo — zawołała — kto będzie przy dziecku? Skąd ci to przyszło do głowy! — dodała jeszcze głośniej, podczas gdy budnik udając, że nic nie słyszy, z Tobiaszkiem odchodził.

W pierwszej chwili chciała za mężem pobiedz, ale myśl o stracie czasu powstrzymała ją od tego. Thiel poszedł z Tobiaszkiem wzdłuż toru; malec był bardzo podniecony, wszystko dlań było nowością, czemś obcem. Nie pojmował, co znaczą wązkie, czarne, słońcem rozgrzane szyny. Nieustannie zadawał dziwne pytania, najbardziej zaś dziwiło go granie słupów telegraficznych. Thiel znał każdy poszczególny ton swego rewiru tak, że z zamkniętemi oczyma wiedział, w którym punkcie się znajduje. Często przystawał, trzymając Tobiaszka za rękę, by przysłuchiwać się cudownym melodyom, które wydobywały się ze słupa, gdyby poważne chorały z wnętrza kaplicy. Słup na południowym krańcu rewiru rozbrzmiewał szczególnie pełnym i pięknym akordem. Cały zbiór tonów był w jego wnętrzu, które równocześnie, bez przerwy grały, a Tobiaszek biegał naokoło czarodziejskiego drzewa, aby, jak sądził, znaleźć w niem dziurkę, przez którą mógłby dojrzeć w jego wnętrzu sprawców tej miłej muzyki. Budnika nastrajało to poważnie, jakby był w kościele. Poza tem odróżniał on w tych tonach od czasu do czasu gdyby głos swej zmarłej żony. Wyobrażał sobie, że jest to chór jakichś duchów, w którym brzmiał także jej głos, a to marzenie budziło w nim tęsknotę i wzruszenie aż do łez.

Tobiaszek zapragnął kwiatów, które rosły na zboczu toru, a Thiel, jak zwykle, usłuchał go.

Małe, niebieskie kwiatki rosły tak gęsto obok siebie, jakby cząsteczki błękitu opadły na podłoże gaju. Barwne motyle latały cicho pomiędzy bielą pni brzóz, a górą delikatne, zielone listki szemrały cicho.

Tobiaszek zrywał kwiaty, a zamyślony ojciec patrzył nań. Niekiedy podnosił oczy w górę i patrzył przez szpary liści na niebo, które napełniało się światłem słońca, niby olbrzymia, jasno błękitna, kryształowa czara.

— Ojcze, czy to Pan Bóg? — zapytał nagle mały, wskazując na brunatną wiewiórkę, która lekko z gałęzi przeskoczyła na pień samotnie stojącej sosny.

— Głupcze — to było wszystko, co mu Thiel mógł odpowiedzieć, podczas gdy oderwany od pnia ułamek kory do nóg mu właśnie upadł.

Matka pracowała jeszcze, gdy Thiel i Tobiaszek powrócili. Połowa roli była już skopana.

Pociągi szły jeden za drugim w krótkich odstępach czasu, a Tobiaszek patrzył na nie za każdym razem z otwartemi ustami.

Nawet matka żartowała z powodu jego śmiesznych min.

Obiad złożony z kartofli i zimnej wieprzowiny zjedzono w budce. Lena była podniecona, a nawet Thiel usiłował pogodzić się z koniecznością. Zabawiał podczas jedzenia żonę rozmaitemi pytaniami o sprawach, właściwych jego zawodowi. I tak zapytał jej, czy

przypuszcza, że w każdej szynie jest czterdzieści sześć śrub itd.

Przed południem Lena ukończyła kopanie, po obiedzie miała sadzić kartofle. Stanęło na tem, że Tobiaszek ma pilnować małego, dlatego zabrała go ze sobą.

— Tylko uważaj... — zawołał Thiel nagle przejęty trwogą — uważaj, by nie zbliżał się do toru.

Wzruszenie ramionami było odpowiedzią kobiety.

* * *

Sygnalizowano, że zdąża śląski pociąg pospieszny i Thiel musiał iść do swego posterunku. Skoro tylko stanął przy baryerze, usłyszał, że nadjeżdża.

Pociąg było już widać — przybliżał się — niezliczonemi, pędzącemi za sobą wypchnięciami wydobywała się para z czarnej maszyny. Wtem: raz — dwa — trzy... mlecznobiałe wytryski pary wzniosły się pionowo do góry, a zaraz potem rozdarł powietrze świst maszyny. Trzy razy po sobie krótko, przeraźliwie, na trwogę. Hamują, pomyślał Thiel, dlaczego? I znowu rozległy się świsty na trwogę, budząc echa, teraz w nieprzerwanym dłuższym szeregu.

Thiel wystąpił, by przejrzeć tor. Machinalnie wyciągnął czerwoną chorągiewkę z futerału i trzymał ją wprost przed sobą nad szynami.

— Chryste, czy oślepł? — Chryste — o Jezu, Jezu, Chryste Panie! co to takiego? Tam — tam pomiędzy szynami... Stó...ój — zawołał budnik z całych sił. Za późno. Ciemna masa dostała się pod pociąg i rzucała się pomiędzy kołami jak gumowa piłka. Jeszcze parę chwil, a rozległ się zgrzyt i wstrzymywanie hamulcami. Pociąg stanął.

Pusty tor ożywił się. Prowadzący pociąg i palacz popędzili ku tyłowi pociągu. Z każdego okna wyglądały zaciekawione twarze, poczęto wychodzić z pociągu — i tłum skłębiony począł iść także ku tyłowi pociągu.

Thiel zdrętwiał; siłą woli wstrzymywał się, by nie paść, jak śmiertelnie rażony tur.

Wrzask rozdziera powietrze na miejscu nieszczęśliwego wypadku, ryk gdyby z gardła zwierzęcia. Kto to? Lena?? To nie jej głos, a jednak...

Jakiś człowiek zbliża się doń torem.

— Budniku!

— Co tam!

— Nieszczęście!... Poseł cofa się, gdyż oczy budnika poczynają dziwnie błyszczeć. Czapka na bakier, rude włosy, zda się, że stają dęba.

— Żyje jeszcze, może się da uratować.

Rzężenie jest jedyną odpowiedzią.

— Chodź prędko, prędzej...

Thiel porywa się gwałtem. Jego stężałe muszkuły prężą się; prostuje się, teraz ma twarz trupio-bladą.

Pędzi z posłańcem, nie widzi śmiertelnie

bladych, przerażonych twarzy podróżnych w oknach.

Przez okno wygląda jakaś młoda kobieta oraz komiwojażer w fezie, może to ich podróż poślubna. Co to go obchodzi? Nigdy go nic nie obchodziły te figury; — jego ucho słyszy ryk Leny. Przed jego oczyma wirują żółte punkty, gdyby iskry, niezliczone. Cofnął się — stanął. Z tańca iskier występuje coś bladego, stężałego, krwawego. Czoło, brązowe i sine, pokaleczone, niebieskawe wargi, z których krew sączy się kroplami. Oto, co jest.

Thiel nic nie mówi. Twarz jego staje się ziemisto-brudną. Uśmiecha się nieprzytomnie; wreszcie pochyla się; czuje stężałe, martwe członki, ciężące mu w ramionach; czerwona chorągiewka oplątuje je.

Idzie?

Gdzie?

— Do lekarza kolejowego, do lekarza — rozlegają się głosy.

— Weźmiemy go ze sobą — woła ładowniczy i urządza w swym przedziale ze służbowych płaszczów i książek posłanie. — Co, dobrze?

Thiel nie chce oddać nieszczęśliwego. Nie napierają nań. Napróżno. Ładowniczy każe podać z wagonu nosze i przeznacza człowieka ojcu do pomocy.

Czas ucieka. Gwizdawka prowadzącego pociąg rozlega się. Z okien sypią się pieniądze.

Lena porusza się jak obłąkana.

— Biedna, biedna kobieta — mówią po przedziałach — biedna, biedna matka.

Prowadzący pociąg gwiżdże jeszcze raz — świst — lokomotywa wyrzuca białe, syczące pary z cylindrów, prostuje swe stalowe ramiona; kilka sekund i pociąg pospieszny pędzi z pióropuszem dymu z podwójną chyżością przez las.

Budnik, zmieniwszy postanowienie, składa na pół żywego malca na nosze. I oto leży w swej nikłej postaci i co pewien czas podnosi głęboki, syczący oddech jego wyschłą klateczkę piersiową, widoczną przez podartą koszulę. Ramiączka i nóżki, nietylko w zgięciach pogruchotane, przybierają dziwaczne położenia. Stopa małej nóżki wykręcona jest w odwrotną stronę. Ramiona zwisają poza brzegi noszów.

Lena zawodzi ciągle; ślad jakiejkolwiek innej troski opuścił ją. Powtarza bez przerwy tę samą opowieść, mającą ją oczyścić od wszelkiej winy w całem tem zdarzeniu.

Thiel zdaje się jej wcale nie widzieć; z przeraźliwie smutnym wyrazem twarzy wlepił oczy w dziecię.

Cicho dokoła, śmiertelnie cicho. Ciemne a rozgrzane szyny leżą na lśniącym żwirze. Południe uciszyło wiatr, w bezruchu las gdyby skamieniał.

Mężczyźni naradzają się szeptem. Trzeba się cofnąć z najbliższej stacyi, jeżeli się chce dostać jak najrychlej do Friedrichshagen, al-

bowiem następny pociąg również nie zatrzymuje się bliżej Friedrichshagen.

Thiel chwilę się namyśla, czy iść z nimi. Chwilowo niema nikogo, ktoby go w służbie mógł zastąpić. Niemy ruch jego ręki nakazuje żonie, by ujęła za nosze; nie śmie sprzeciwiać się, chociaż trwoży się o pozostałe niemowlę. Ona i jakiś obcy człowiek niosą nosze. Thiel towarzyszy im aż do granic swego rewiru, potem staje i długo patrzy za nimi. Nagle uderza się dłonią w czoło tak silnie, że aż się rozlega.

Sądził, że się obudzi; bo pewnie to sen, jak wczoraj — myśli sobie. Daremnie. Zataczając się raczej, aniżeli idąc, dotarł do budki. Tam padł na ziemię, na twarz. Czapka potoczyła się w kąt, jego tak szanowany zegarek wypadł z kieszeni, koperta odskoczyła, szkło pękło. Było mu jakby go przygniatała jakaś żelazna pięść, tak silnie, że nie mógł się poruszać, aczkolwiek, szamocząc się i jęcząc, chciał się od niej uwolnić. Ciało jego było zimne, oczy suche, w gardle mu tylko gorzało.

Dzwon sygnałowy oprzytomnił go. Pod wrażeniem trzykrotnie powtarzających się uderzeń sygnałów minął atak. Thiel zdołał się podnieść i pełnić służbę. Wprawdzie nogi ciężyły mu gdyby z ołowiu, wprawdzie krążył dookoła niego tor, gdyby sprycha olbrzymiego koła, którego osią była jego głowa,

ale udało mu się na tyle się przemódz, by przez chwilę stać prosto.

Pociąg osobowy zbliżał się. Tobiaszek musiał tam być. Im bardziej się zbliżał, tem bardziej niknęło wszystko przed oczyma Thiela. Wkońcu widział jedynie pokaleczonego malca z pokrwawionemi ustami. Potem ogarnęła go noc.

Po pewnym czasie przyszedł do siebie. Leżał tuż przy baryerze w gorącym piasku. Powstał, otrzepał piasek z ubrania i wypluł go z ust. Głowa mu mniej ciężyła, zdołał nieco myśleć.

W budce podjął zaraz z ziemi swój zegarek i położył go na stole. Mimo upadku nie przestał iść. Podczas dwu godzin liczył sekundy i minuty, wyobrażając sobie, co się teraz dzieje z Tobiaszkiem. Teraz idzie z nim Lena; teraz stoi przed lekarzem. Ten ogląda i opukuje małego i kręci głową.

— Źle, bardzo źle – ale może... kto wie? — Bada dokładniej. — Nie — mówi potem — nie, już po wszystkiem.

– Po wszystkiem, po wszystkiem! – zajęczał budnik, potem wyprostował się i zawołał głosem rozrywającym ciasną przestrzeń, tocząc oczyma po suficie i zaciskając bezwiednie w pięści wzniesione ręce: – Musi, musi żyć, mówię ci, musi, musi żyć! – I już pchnął drzwi budki, przez które wtłoczyła się czerwień zachodu, i potoczył się raczej aniżeli szedł, do baryery. Tu stał chwilę, gdyby zakłopotany i ru-

szył nagle, wyciągając oboje ramion, na środek nasypu, jakby chciał coś zatrzymać, co od strony pociągu osobowego się zbliżało. Oczy jego przytem wyglądały jak u ślepca.

Podczas tego, krzycząc poza siebie, zdawał się przed czemś uciekać, wyrzucając przez zęby na pół zrozumiałe słowa: Ty — słyszysz — oddaj go — pokaleczony jest — zsiniały — tak, tak — dobrze — ja ją osiniaczę — słyszysz? zaczekaj — oddaj go...

Zdawało się, jakby ktoś przed nim szedł, gdyż stąpał i poruszał się, jakby za kimś dążył, wciąż idąc w zmieniającym się kierunku.

— Ty, Minna — głos mu łkał, jak u małego dziecka — Ty, Minna, słyszysz? — oddaj go — ja chcę... — Chwytał powietrze, jakby łowił kogoś. — Kobiecino — no — a już jej... ja ją także zabiję — do siności otłukę — chcę siekierą — widzisz? — kuchenną siekierą -- zabiję ją siekierą kuchenną — zdechnie...

— A potem... siekierą — kuchenną, tak... czarna krew! — Piana wybiegła mu na usta, szklane źrenice jego poruszały się bez przerwy.

Miły wiew wieczoru szedł zwolna, powoli od lasu, a zaróżowione chmury wznosiły się na zachodzie.

Prawie sto kroków ścigał on tę postać niewidzialną, aż wreszcie stanął bezradny, i z potwornem przerażeniem w twarzy wyciągał ramiona błagając, przeklinając. Przecierał

oczy i przysłonił je dłonią od światła, by kogoś jeszcze dojrzeć w oddali. Wreszcie opadła ręka, a natężony wyraz twarzy przeszedł w tępą bezsilność; zwrócił się i powlókł z powrotem.

Słońce zlewało ostatnie promienie na las, potem zagasło. Pnie sosen sterczały, gdyby blade, posępne słupy pod ciężarem gałęzi, które, jak szaro czarne połacie mchu ciężyły na nich. Kucie dzięcioła przerwało ciszę. Po zimnem, stalowo sinem niebie płynęła jedna jedyna, opóźniona, różowa chmurka. Wiatr wiał chłodem piwnicznym tak, że budnik drżeć począł. Wszystko było dlań nowem, obcem. Nie wiedział, skąd to się wszystko wzięło, poco idzie, co go otacza. Wtem przeskoczyła wiewiórka przez tor i Thiel oprzytomniał. Pomyślał o Bogu, sam nie wiedząc dlaczego. — Dobry Bóg skacze przez tor, dobry Bóg skacze przez tor. – Powtarzał to zdanie kilka razy, ażeby dojść do czegoś, z czem jest ono związane. Przemógł się, jasna myśl wtargnęła mu do mózgu: – ależ mój Boże, to przecie obłęd. – Zapomniał o wszystkiem i zwrócił się przeciw temu nieprzyjacielowi. Chciał zaprowadzić jakiś ład w swych myślach. Daremnie! Było to ciągłe błądzenie. Przyłapywał się na bezmyślnych wyobrażeniach i przerażał się własną swą nieudolnością myślenia.

Z pośrodka niedaleko rosnących grusz dotarł doń krzyk dziecka. Stało to się powodem jego wściekłości. Niemal wbrew swej

woli musiał tam iść i znalazł niemowlę, o którem nikt nie myślał, płaczące i drżące, bez posłania w wózeczku. Co chciał uczynić? Co go tu przywiodło? Chaotyczny wir uczuć i myśli pochłonął te pytania.

— Dobry Bóg skacze przez tor. — Teraz wiedział co to znaczy. — Tobiaszek! — Ona go zamordowała — Lena — jej był powierzonym — Macocha, krucza matka — zazgrzytał — a jej bachor żyje! — Czerwona mgła osłoniła mu myśli, dwoje niemowlęcych oczu przebijały ją; uczuł coś miękiego, mięsnego między palcami. Zdławione, świszczące tony, przerywane silniejszymi krzykami, o których nie wiedział skąd pochodzą, dochodziły mu do uszu.

Wtem spadły na jego mózg gdyby krople roztopionego laku i jakaś mgła wzniosła się z jego mózgu. Przychodząc do świadomości, usłyszał kolejowe sygnały.

Nagle pojął, co zamierzał; ręka jego puściła gardło dziecka, które wiło się w jej uściskach. Zaczerpnęło powietrza, potem zaczęło kaszleć i krzyczeć.

— Żyje! Dzięki Bogu, żyje! — Zostawił je leżące i poszedł do przejazdu. Ciemny opar falował wzdłuż całego toru, a wiatr dławił go ku ziemi. Poza sobą usłyszał sapanie maszyny, podobne do zmęczonego oddechu chorego człowieka.

Zimny półcień dokoła.

Po chwili, gdy dym się rozszedł, rozpoznał

Thiel ciężarówkę, która z pustymi wozami wracała i wiozła robotników, pracujących przez dzień na torze.

Pociąg szedł bardzo wolno i musiał wszędzie co chwila przystawać, by tu i tam zabierać zajętych robotników, innych zaś zesadzać. Dobry kawałek przed budką Thiela zaczęto hamować. Głośne zgrzytanie, dźwięczenie łańcuchów przedarło wokół wieczorną ciszę, aż wreszcie pociąg przy ostatnim, przeraźliwym, długim zgrzycie zatrzymał się.

Około pięćdziesięciu robotników i robotnic było w nim. Prawie wszyscy stali, niektórzy z mężczyzn z odkrytemi głowami. W ich twarzach była zagadkowa powaga. Gdy budnika ujrzeli, poczęli szeptać. Starzy wyjęli fajki z pomiędzy żółtych zębów i trzymali je z namaszczeniem w ręku. Tu i tam kobiety odwracały się i ocierały oczy. Prowadzący pociąg zeszedł na tor i przystąpił do Thiela. Robotnicy ujrzeli, jak uroczyście wstrząsnął jego ręką, poczem Thiel powolnym, niemal wojskowym krokiem podążył do ostatniego wozu.

Żaden z robotników nie odważył się doń przemówić, chociaż wszyscy go znali.

Z ostatniego wagonu wynoszono właśnie Tobiaszka.

Był martwy.

Lena szła za nim; jej twarz była sino-blada, brązowe podkowy miała pod oczami.

Thiel nie spojrzał nawet na nią; ona je-

dnak przeraziła się, ujrzawszy męża. Jego policzki zapadły się, brwi i broda zlepiły się, czaszka, jak jej się wydawało, była bardziej siwą, jak dotąd. Ślady obeschniętych łez wszędzie na twarzy; przytem niezwykłe blaski w oczach, których się lękała.

Nosze też przywieziono ze sobą, by módz zwłoki przetransportować.

Chwilę trwała przykra cisza. Głucha potworna pustka owładnęła Thielem. Zciemniało się. Stado sarn wybiegło tymczasem na nasyp. Sarniuk przystanął między szynami. Zwracał swą szyję ciekawie tu i tam, wtem zagwizdała lokomotywa, a wtedy błyskawicznie znikł ze swem stadem.

W chwili, gdy pociąg ruszał, Thiel powalił się na ziemię bez zmysłów.

Pociąg stanął; zaczęto się naradzać, co czynić należy. Postanowiono zwłoki dziecka pomieścić chwilowo w budce, a zamiast tychże budnika, którego nie można było żadnym sposobem doprowadzić do przytomności, zanieść na noszach do domu.

I tak się stało. Dwu ludzi niosło nosze z nieprzytomnym w towarzystwie Leny, która wciąż łkając, z zapłakaną twarzą wózek z dzieckiem popychała po piasku.

Gdyby olbrzymia, purpurowa kula gorzał księżyc pośród gałęzi sosen. Im wyżej się wznosił, tem stawał się mniejszy i bledszy. Wreszcie zawisł, gdyby lampa nad lasem, przesączając przez wszystkie szczeliny mdłe

światło, zmieniające oblicza idących w trupie twarze.

Szybko, ale ostrożnie dążono naprzód, to przez gęsty, młody las, to przez rzadki, wysokopienny, w którego łączkach światło zbierało się gdyby we wielkich, ciemnych miednicach.

Nieprzytomny rzężał od czasu do czasu, lub majaczył. Kilka razy zaciskał pięści i starał się otworzyć zaciśnięte powieki.

Z wielkim trudem przedostano się przez Spreę, musiano jeszcze raz nawracać, by zabrać matkę z dzieckiem.

Gdy do osady się zbliżano, spotkano kilku mieszkańców, którzy wieść o nieszczęściu dalej rozniieśli.

Cała osada przybyła.

Wobec znajomych Lena poczęła znów narzekać.

Wniesiono chorego z trudem po schodach do mieszkania i ułożono na łóżku. Robotnicy odeszli zaraz, by przynieść Tobiaszka.

Starzy, doświadczeni ludzie radzili zimne okłady, Lena usłuchała ich wskazówek. Moczyła ręczniki w zimnej wodzie studziennej i zmieniała okłady, skoro tylko rozpalone czoło nieprzytomnego je ogrzało. Z trwogą przysłuchiwała się oddechowi chorego, który z każdą minutą wydawał się jej bardziej miarowym.

Wrażenia dnia znękały ją tak bardzo, że postanowiła nieco się zdrzemnąć. Brakło jej

spokoju. Zamknąwszy czy otwarłszy oczy wciąż widziała minione obrazy. Małe spało. Nie troszczyła się bardzo o nie. Wreszcie uspokoiła się. Tak, przecież ten chory człowiek o kredowo-bladej, potem okrytej twarzy nie mógł jej przerwać snu.

Chmura okryła krąg miesiąca, pociemniało w izbie, a Lena słyszała jedynie ciężki, ale regularny oddech męża. Namyślała się, czy zapalić światło. Nie swojsko jej było w ciemności. Gdy usiłowała powstać, ciężyły jej członki, powieki się jej zamknęły... usnęła...

Po upływie kilku godzin, gdy ludzie ze zwłokami Tobiaszka przybyli, znaleźli drzwi domu szeroko otwarte. Zdziwieni tem wstąpili na schody, do mieszkania, którego drzwi również były otwarte.

Wzywali kilkakrotnie kobiety po imieniu, nie otrzymując odpowiedzi. Wreszcie zapalono zapałkę o ścianę, a rozniecone światło oświeciło przerażający widok.

— Morderstwo, morderstwo!

Lena leżała we własnej krwi, z twarzą do niepoznania, z roztrzaskaną czaszką.

— Zamordował żonę, zamordował żonę!

Poczęto biegać bez pamięci. Sąsiedzi przyszli, jeden zawadził o kolebkę – Święte nieba – i cofnął się blady, z przerażonym wzrokiem. Tam leżało dziecko z poderzniętem gardłem.

Budnik znikł; poszukiwania, czynione w nocy, były daremne. Rankiem znalazł go strażnik pełniący służbę między szynami na miej-

scu, gdzie Tobiaszka pociąg przejechał. Trzymał brązową czapeczkę pluszową na ręku i pieścił ją bez przerwy, jakby coś żyjącego.

Strażnik zadał mu kilka pytań, nie otrzymał jednak odpowiedzi i dorozumiał się wkrótce, że ma do czynienia z obłąkanym.

Nowy budnik, powiadomiony o tem, zatelegrafował do stacyi.

I oto starała się większa ilość ludzi życzliwą namową, skłonić go do zejścia ze szyn. Napróżno.

Pociąg pospieszny, idący w tym czasie, zatrzymano i dopiero przemocy jego służby udało się chorego, wpadającego w szał, siłą z szyn zabrać.

Musiano mu skrępować ręce i nogi, a zawezwany żandarm pilnował transportu do berlińskiego więzienia śledczego, z którego zaraz pierwszego dnia oddano go do szpitala obłąkanych. Przez cały ten czas trzymał Thiel brązową czapeczkę na ręku i strzegł jej zazdrośnie i pieszczotliwie.

ADAMA STODORA

wyszły osobno:

Adoracya. Poezye. Lwów 1899. (Wyczerpane).
Z cichych tragedyj. Nowele. Lwów-Warszawa 1904.
Atlantyda. Fantazya liryczna. Lwów-Warszawa 1904.
Adoracya. Poezye. (Wydanie II.) Stanisławów-Warszawa 1905.
Drobne poezye K. Brodzińskiego do r. 1818. Przyczynek do charakterystyki poety. Stanisławów-Warszawa 1905.
Jawnogrzesznica. Poemat. Stanisławów-Warszawa 1905.
Jan Kasprowicz. Szkic literacki. Złoczów-Lwów 1905.
Con dolore. Poezye. Stanisławów-Warszawa 1906.
Ślubna obrączka. Nowelety. Stanisławów-Warszawa 1907.
Złocista Góra. Poemat dramatyczny. Brody 1907.
U ołtarza Mildy. Poemat dramatyczny. Stanisławów-Warszawa 1907.

PRZEKŁADY:

Verlaine Paweł: **Księga mądrości.** Poezye. Stanisławów-Warszawa 1906.
Dolorosa: **Confirmo te chrismate.** Poezye. Stanisławów-Warszawa 1907.